



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Święta Cecylia.

Święta Cecylia.

Melodya czysta płynie wzwyż: —
To mknie srebrnemi tony
W niebo, gdzie Pański błyszczy Krzyż,
Cecylii hymn natchniony.

Gwar życia ustał, myśli, ruch,
W niebiańską słodką ciszę
Porwan przezysty Świętej duch,
Dłoń spadła na klawisze...

Aniołów z niebios jasny chór
W tę ciszę zasłuchany,
Przybył jej pieśni czynić wtór,
I czeka na organy.

Z dźwiękiem organów wespół brzmia
Anielskie instrumenty,
Hymn wzbiera prośbą, hołdem, czcią,
„Chwała Ci, Święty, Święty!”

Ulata pieśń do Niebios bram,
Anielskie słyhać granie,
„Ty, który ojcem jesteś nam,
Wysłuchaj nas, o Panie!”

„Niech tym, co życia wiodą bój,
Pokojem pierś oddycha!”

.....
Śpiewa Aniołów białych rój,
A gra Cecylia cicha!

Bożymir.



St. Kramosztyk.

O wynalazcach i wynalazkach.

(Dokończenie).

Powtarzając od dzieciństwa rozpowszechnione zdanie, że druk wynalazł Gutenberg, nawykamy do pojęcia, że wynalazek ten naraz dokonany i wykonany został. Naprawdę wszakże trudno nawet powiedzieć, który moment w rozwoju sztuki drukarskiej za jej początek uważać należy. W istocie rzeczy pierwszym zarodkiem druku były drzeworyty.

Co to jest drzeworyt, okazuje się już z samej jego nazwy. Obraz rysuje się na drzewie, potem wyrzyna go się tak, że występuje wypukło; wtedy deseczkę w ten sposób przygotowaną naciera się czar-

ną farbą i naciska na papier. Papieru, oczywiście, dotknąć mogą tylko miejsca wypukłe, rysunki więc odbijają się na nim wyraźnie. Obrazki takie ukazywały się po raz pierwszy lat temu około pięciuset; były to pierwotnie jedynie wizerunki Świętych, oraz karty do grania. Pod obrazkami trzeba było umieszczać podpisy; zamiast więc podpisywać każdy obrazek oddzielnie, zaczęto wyrzynać wraz z rysunkami i podpisy na deseczkach.

W owym czasie ludzie bardziej, aniżeli poprzednio, zaczęli troszczyć się o naukę; rodzice pragnęli, by dzieci ich umiały czytać. Książki wszakże przepisywane były nader drogie, dostępne jedynie dla ludzi bardzo bogatych, dla ogółu były prawie niedostępne. Ale i w tym razie potrzeba stała się matką wynalazku. Zrozumiano, że w takiż sam sposób, jak odbijano obrazki z podpisami, można odbijać samo pismo, bez obrazków; zaczęto więc wyrzynać całe stronicie pisma na drzewie; i tym sposobem powstały niewielkie książki szkolne; książkę zaś taką można już było kupić daleko taniej, aniżeli przepisaną. Odbijanie szło, oczywiście, o wiele prędzej, aniżeli przepisywanie, ale cała robota była jeszcze bardzo zmusna i mozolna, bo należało przygotować tyle tablic rzniętych, ile książka zawierała stronic. Pamiętać też trzeba, że gdy deseczkę taką kładziemy na papier dla odbijania, to jej brzeg prawy pada na brzeg lewy papieru, trzeba więc było na tabliczkach przygotowywać pismo odwrócone, zatem idące od ręki prawej ku lewej; każda tedy głoska musiała być odwróconą, a to utrudniało pisanie i wyrzynanie głosek. Tu wszakże nasunęło się nader ważne udogodnienie, gdy, zamiast wyrzynać pismo na deseczce, zaczęto wycinać oddzielne głoski; można już było odrazu przygotować obfity zapas takich głosek, z których układano potrzebne wyrazy, poczem je wiązano, łączono, a po odbiciu znowu rozdzielano i używano następnie do odbijania innej książki.

Otóż, ten właśnie pomysł, ten sposób odbijania książek za pomocą liter ruchomych, stanowi wynalazek druku. Pomysł ten zawdzięczamy Gutenbergowi z Moguncyi, lat temu czterysta przeszło. Nie wystarczy to wszakże powziąć pomysłu choćby najlepszy, należy go jeszcze wykonać. Gutenberga nie dla tego nazywamy wynalazcą, że wpadł na pomysł wyrzynania oddzielnych głosek, bo byli ludzie, którzy dawniej już też samą myśl mieli, ale dla tego, że naprawdę zaczął on tym sposobem książki drukować, a chociaż napotykał mnóstwo przeszkód, nie zraził się niemi, wyszukał towarzyszy pracy, którzy mu dopomogli, i przy wytrwałości dopiął celu.

Z początku używał głosek wyrzynanych na drzewie, ale rychło poznał, że taka droga jest jeszcze niedosyć pospieszna i zbyt kosztowna, doskonale sobie wszakże z towarzyszami swymi poradził. Zamiast wycinać każdą literę z drzewa oddzielnie, zaczęli wyrabiać foremki i za pomocą tych foremek odlewać głoski z odpowiedniego materiału topliwego. Mając raz przygotowaną foremkę, można za pomocą niej otrzywać tysiące liter metalowych, czyli czcionek. Do odlewów tych nastęrczał się najpierw ołów, jako metal bardzo łatwo topliwy, jest wszakże tak miękki, że daje się lada czem rysować; po różnych dopiero próbach poznano, że bardzo korzystnie działa tu dodatek innego metalu, zwanego antymonem. Mieszanka taka, albo raczej stop czyli aliaz ołowiu i antymonu jest daleko twardszy od ołowiu czystego, a więc na czcionki bardziej przydatny.

Pod względem zatem wyrobu czcionek drukarskiego w krótkim czasie osiągnęło doskonałość istotną, ale to jeszcze nie stanowi całego wynalazku druku. Aby czcionki dobrze odbić na papierze, trzeba złożyć-

ne z nich kolumny dokładnie i silnie do papieru nacisnąć; stąd nacisk ten ma ważne znaczenie, a nawet stąd poszła i sama nazwa druku, wyraz ten bowiem po niemiecku oznacza uciskanie, ciśnienie. Pierwotnie używano w tym celu prasy drewnianej, podobnej do tłoczni, jaka służyła do wytłaczania wina, znacznie później zaczęto się posługiwać prasami żelaznymi. Do powlekania czarną farbą kolumn złożonych z czcionek służyły pierwotnie szczotki, potem dopiero poznano, że dogodniejsze są wałki czyli walce, które zanurzano w farbie i przeciągano po kolumnach, do druku złożonych.

Za pomocą takich pras ręcznych, czyli poruszanych ręką, robota nie mogła iść bardzo szybko; trzeba było ciągle kolumny czernić, nakładać papier, naciskać prasą, papier wyjmować, i toż samo powtarzać z drugą stroną arkusza. W ten sposób otrzymywano z początku zaledwie trzysta odbić dziennie działaniem jednej prasy; później prasy ulepszone dawały po tysiąc i więcej odbić, ale nie był to jeszcze pośpiech dostateczny, zwłaszcza, gdy gazety codzienne trzeba było odbijać szybko w liczbie kilkunastu albo kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Zbudowano wtedy prasy pospieszne, czyli maszyny tak urządzone, że z jednej strony podsuwa się papier czysty, a z drugiej wysuwa się już zadrukowany; robota idzie tak szybko, że kto jej się nie przyjrzał, nie może mieć nawet wyobrażenia. Maszyna taka zgoła nie jest podobna do dawnej drukarni ręcznej, jednakże drukuje w takiż sam sposób, bo i tu trzeba ciągle kolumny czernić, papier nasuwać i prasę naciskać, ale wszystko to załatwia maszyna sama, ludzie potrzebują wyjmować tylko druki już gotowe.

Poznajemy z tego, że druk nie jest bynajmniej jednym, nagłym wynalazkiem, ale składa się raczej z mnóstwa szczegółów oddzielnych, z bardzo wielu wynalazków osobnych, które następowały jedne po drugich, coraz większą sprowadzając doskonałość. Nie jesto nawet przybywają maszyny, drukujące coraz dokładniej i coraz pośpieszniej.

Ale także sama zupełnie jest historia każdego innego wynalazku. Dziś ze zdumieniem spoglądamy na samochody, toczące się bez widocznej siły porządkowej, z uderzającą prędkością, po ulicach miejskich i po zwykłych drogach; wystawiamy je, jako wynalazek nowy zupełnie, jednakże jesto tylko pewne udoskonalenie lokomotyw, ciągnących po szynach długi szereg wagonów. Historia wozu jest również dawna, jak dzieje człowieka, wóz był bowiem potrzebny ludziom już w najdawniejszych czasach. Wóz pierwotny budowany był zapewne w rodzaju sań dzisiejszych, następnie dopiero zrozumiano pożytek kół; poznano potem, że wozy toczą się łatwiej po szynach, aniżeli po drogach zwykłych. zamiast koni zaprzężono do nich maszyny parowe i elektryczne, aż wreszcie nauczono się budować lokomotywy tak lekkie, że mogą się obywać bez szyn i swobodnie się posuwają po zwykłej, gładkiej drodze.

Nowym wynalazkiem jest napozór fotografia, zaczęliśmy się bowiem fotografować dopiero przed pięćdziesięciu, mniej więcej, laty. Jednakże już w czasach starożytnych znano soczewki czyli szkła wypukłe i wiedziano, że za ich pośrednictwem otrzymać można obrazy rzeczywiste przedmiotów, a tworzenie się takich obrazów jest właśnie podstawą fotografii. W r. 1658 wynalazł Porta ciemnię optyczną, która już jest zupełnym przyrządem fotograficznym, a sam widok tak wyraźnych i pięknych, ale znikomych obrazów ciemni wzbudził pragnienie ich utrwalenia. Po dwustu wszakże dopiero latach usiłowań powiodły się próbychwytania i zatrzymywania tych

obrazów na płytach odpowiednio przygotowanych; pierwsze jednak płyty fotograficzne nie były jeszcze dosyć czule, kto chciał wizerunek swój otrzymać, siedzieć musiał nieruchomie przez pięć lub dziesięć minut przed ciemnią optyczną, ale stopniowo nauczono się wyrabiać płyty tak wrażliwe na światło, że do utrwalenia na nich obrazu wystarczyła ułamek sekundy. I fotografia zatem, zanim nabrała znaczenia wynalazku praktycznego, wymagała długiej pracy i licznych zabiegów.

Wynalazek każdy ma swoją historję, nieraz bardzo długą. Rozwija się i doskonali przez ulepszenia stopniowe, niekiedy drobne i nieznaczące, których zbiór wszakże wydaje rezultat wielki i uderzający. Dopóki wynalazek jest w zarodku, w stanie początkowym swego rozwoju, dopóki wynalazcy bez rozgłosu nad nim pracują, ludzie mało o rzeczy tej wiedzą, nie słyszą o niej wcale. Dopiero, gdy wynalazek jest już tak dalece udoskonalony, że wszyscy z niego korzyść odnosić mogą, ludzie dowiadują się o nim niespodzianie, a wtedy wydaje się, że wynalazek odrazu powstał, bez przygotowania poprzedniego. Ci wszakże, co baczniej postępowanie nauki śledzą, wiedzą, że to jest tylko udoskonalenie rzeczy poprzednio już znanej. Dziś wielbimy nowy wynalazek telegrafu bez drutu, ale kto z fizyką jest obeznany, wie dobrze, że telegraf bez drutu wypłynął z doświadczeń, dawno już w pracowniach fizycznych dokonywanych Wynalazca każdy wspiera się na barkach swych poprzedników i sam za podporę służy następcom swoim. Na drodze tej potrzebna jest niewątpliwie zdolność i genialność, ale przedewszystkiem prowadzi do celu praca gorliwa i wytrwałość niezmordowana. Zdolności wrodzone człowieka pracą jedynie i wytrwałością wyrabiać się mogą.

O tem niech pamięta każdy, kto na wynalazcę kształcić się pragnie.

Teresa Jadwiga.

DWIE WYGNANKI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW CESARZA BARBAROSSY.

(Dalszy ciąg).

Dziad idąc, sapał, chwiał się, przystawał, Józik to błądł, to czerwieniał pod ciężarem, jaki wspierał.

Tętent, dobiegający do wsi, stawał się coraz głośniejszy, już słyhać nawet rzenie rumaków i brzęk zbroi, a chłopcu zdawało się nawet, że tuż za nimi pędzi ktoś konno, lecz wróg, czy swój, zgadnąć nie umiał.

Wtem dziad zachwiał się mocniej i padł na kolana, a dłońmi wsparł się o zimny śnieg.

— Ot i zgubiłem cię nieboże — jęknął.

Józik pochylił się ku niemu troskliwie.

— Spoczniecie i pójdziemy dalej — odparł łagodnie.

Lecz w tej samej chwili uczuł, iż jakaś dłoń ciężka spoczęła na jego ramieniu, obejrzał się wylękł: jakiś olbrzym w zbroi stał przy nim.

— Nie ujdiesz mi ptaszku, — rzekł, trzymając Józika za ramię.

I śmiejąc się rubasznie, podniósł go w górę i na siodle obok siebie posadził.

Na giermka go pokieruję — dodał odwracając się do towarzysza — nie lubię służby niemieckiej, wolę swoją.

Józik spojrział na niego błagalnie.

— Puście mnie, panie, swojego nie dręczcie; patrzcie, dziadus mój leży na śniegu, on chory, nie dźwignie się sam.

— Gdy umrze, lepiej mu będzie — odparł Boleśław Wysoki i ścisnął konia ostrogą, rumak zarżał i rwał się do biegu, poleciełi dalej, a jęć starca pogonił za nimi.

VII.

Zachodzące słońce oblewało lasy królewskiego zamku w Burgos, rezydencji Alfonsa VIII, króla Kastylii; na obszernym zamkowym tarasie zebrana była królewska rodzina; niżej na stopniach dwór Alfonsa i młodej jego żony Ryhezy.

Rozparty w wygodnym krześle Alfons VIII-my zwracał co chwila pełne zadowolenia spojrzenie na grupę, opodal niego siedzącą; nie pożałował dotychczas jeszcze ani razu, że poślubił wygnankę, córkę zdetronizowanego księcia, ubogą cudzoziemkę. Z dobrotliwym uśmiechem spoglądał na młodą żonę, zawsze cichą, pogodną i słodką.

U nóg Ryhezy siedziało dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka; pochylona ku nim królowa, musiała im coś ciekawego opowiadać, bo żrenice obojga, wpatrzony w nią z zajęciem, nie szukały koło siebie innych przedmiotów.

Naraz Sanzio, pierworo-dny syn króla, zerwał się i do ojca zbliżył.

— Miłościwy panie, z prośbą do was przychodzę od siebie i siostry mojej — rzekł nieśmiało — pozwólcie nam być rodzicami chrzestnymi naszej siostry przyrodniej, i pozwólcie uczcić ten dzień radosny w naszej rodzinie, tak, jak uczcić go pragniemy.

Alfons VIII z miłością spojrział w błyszczące życiem i dobrocią żrenice syna.

— Na pierwszą prośbę daję bez namysłu pozwolenie, bo już dawno postanowiłem, że ty będziesz ojcem chrzestnym maleńkiej księżniczki, — odparł zwolna — co do drugiej prośby nie mogę dać pozwolenia, nie wiedząc, o co prosisz; przedstaw jaśniej swoje życzenie.

Sanzio z wyraźnym zakłopotaniem spojrział na matkę, ona go zrozumiała; zbliżyła się do męża i odezwała nieśmiało:

— Dzień, w którym córka nasza do grona chrześcijan zapisaną zostanie, pragnęłabym uczcić chrześcijańskim uczynkiem i zaprosić na uroczystość kilkanaście biednych dziewczątek z Burgos, uznanych za najcnotliwsze, aby razem z córką waszej miłości, trzymały naszą maleńką podczas ceremonii.

Alfons zamyślił się nad odpowiedzią; Ryheza czekała ze spuszczonei oczami, zaczerwieniona i niespokojna, jak młode dziewczę.

Poznała bowiem obyczaje dworu, którego królową była, i surową etykietę, jaka nie dozwalała zbl-

żenia się do panujących, wiedziała, że prośba jej jest wielką śmiałością.

Dwór cały podzielał jej niepokój, jedni dziwili się odwadze Ryhezy i ze zdziwieniem spoglądali na nią, drudzy gorszyli się jej prośbą i szeptali, że tylko cudzoziemka mogła dopuścić się czegoś podobnego; inni drżeli, że król gniewem wybuchnie i słodka, dobra Ryheza, którą uwielbiają, dotknięta zostanie niełaską.

Król podniósł nareszcie wzrok na żonę, w serce Ryhezy wstąpił spokój; nie wyczytała gniewu w żrenicach męża, lecz, jak zawsze, wielką miłość.

Powiodłszy zwolna spojrzeniem po dworzanach i paniach, siedzących na stopniach tarasu, Alfons VIII odezwał się po chwili głosem łagodnym:

— Zważywszy zasługi naszej małżonki, jako tklivej matki moich sierot i jako wielbionej przez lud królowej Kastylii, zważywszy na obce jej pochodzenie, zgadzamy się, aby w dniu tak dla niej uroczystym, w którym pierwsze jej dziecko do grona chrześcijan zaliczone zostanie,

aby w dniu tym nasze obyczaje ustąpiły wycyzajom jej ziemi i na drugą prośbę przedstawioną nam, przez królewskiego syna naszego, następcę tronu, pozwolenie dajemy.

— Dzięki wam panie — odparła Ryheza, pochyliwszy się.

— Niech żyje król Hiszpanii! — zawołał uradowany królewicz.

— Niech żyje! — powtórzyl dwór cały.

W tej samej chwili ukazała się na tarasie piastunka z niemowlęciem na ręku, królowa Konstancja podbiegła do niej i wzięła maleńką na ręce.

— Córuchno moja — rzekła, chyląc się do dzieciny z pieszczołą.

— I moja! i moja! — zawołał królewicz — moja córuchna i moja imienniczka — dodał — i odebra-

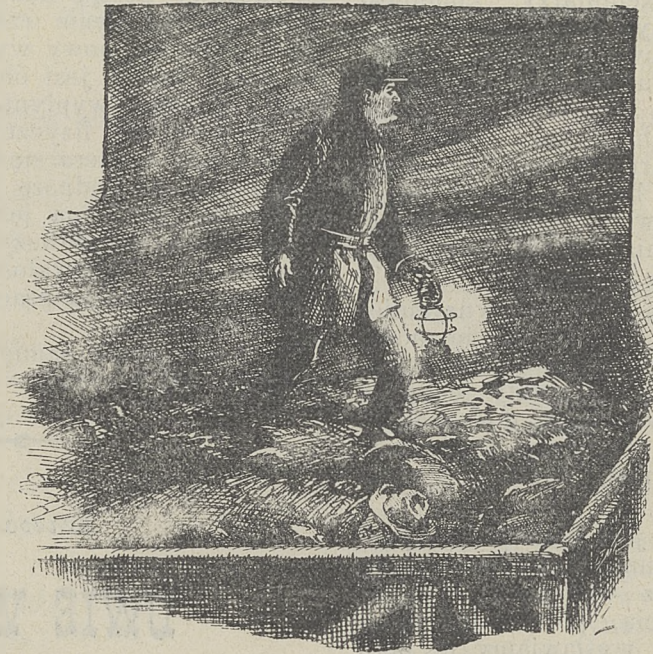
wszy z rąk siostry niemowlę, poniosł je do matki.

Ryheza siadła z maleńką, Konstancja i Sanzio ukłękli u nóg jej i uśmiechali się do różowej buzi, wychylającej się z kosztownych materyi, w jakie spowinięta była dziecina. Poważny Alfons VIII przypartywał się znowu z pobłażliwym uśmiechem pięknej i szczęśliwej grupie.

* * *

Cicho już było w zamku królewskim, rozeszli się wszyscy do swoich komnat, Ryheza zwykle o tej godzinie usuwała się do kaplicy zamkowej. Z okien kaplicy widok był bardzo rozległy; odmówiwszy pacierze na stopniach ołtarza, Ryheza stawała zwykle w oknie i wzrokiem pełnym tęsknoty patrzyła w strony rodzinne. Serce jej płakało wówczas za ojcem, za braćmi, za ziemią rodzinną i grobem matki, z oczu lży się toczyły, dusza jej przeniosła się do Krakowa i szczęśliwe dziecięce lata stanęły jej żywo w pamięci, to do Altenburgu, gdzie grób matki zostawiła i ojca wygnańca. Doszły też do niej wieści, że panowie nie dopuścili Władysława do Krakowa, że Barbarossa na wyprawę Krzyżową pojechał, nie lękano się go i Kędzierzawy siedział spokojnie w dzielnicy

Do opow. „W pogoni za pociągiem.”



Dwa razy przechodził koło niego konduktor...

przez panów mu ofiarowanej. Wpatrzona w gwiazdziste sklepienie nieba, Ryheza z wolna płynące łzy ocierała i mową rodzinną do gwiazd przemawiała.

— Wy ojcu memu świecicie także, powiedzcie mu, że tęsknię za nim, że go błagam, by tutaj przyjechał, że u mnie zapomni, iż jest wygnańcem.

I zamek Altenburski rysował się wyraźnie w jej wyobraźni, a u stóp góry zamkowej chaty kmieci słowiańskich.

— Dzieciny moje, czy i wy mnie wspominiacie?— pytała.

Potem dusza jej nad Wawelem zawisała; ujrzała dawno niewidziane lasy, łąkę, rzekę — łzy przestały płynąć, zdało jej się, że jest małą dziewczynką, że biega wesoło po sadzie zamkowym i wianuszki z niezabudek plecie, a wspomnienia te taką słodyczą napęliły jej serce, że smutek uleciał z jej czoła, ślady też zatarły się na jej twarzy i wracała z kaplicy znowu pogodzona ze swoją dolą.

Tak bywało codzień i nikt na zamku w Burgos nie domyślił się, że Ryheza każdego wieczora tęskni i płacze za swojemi stronami.

(d. c. n.)

Z DANII

Wycieczka do Sveborgu.

Słyszałem nieraz, że rzeki i jeziora wysychają ale nie wiedziałem, że ludzie potrafią wypuścić całą wodę z olbrzymiego jeziora.

W ten sposób właśnie postąpili Duńczycy. którzy są bardzo chciwi na łąki, a wody mają w kraju pod dostatkiem. Wykopali długi kanał i spuścili całą jezioro. Niebawem ziemia się w nim wyrównała i porosła piękną, bujną trawą.



Właśnie wczoraj odbyliśmy tam wycieczkę. Ładną drogą pomiędzy zbożem lub brzegiem kanału szliśmy przeszło godzinę, a wtedy stanęliśmy na moście i ujrzelśmy duże pastwisko, był to początek owego dawnego jeziora. Trochę dalej spostrzegliśmy niewielkie wzniesienie, otoczone parkanem i ładnymi dużymi drzewami.

— Teraz tu wejdziemy — powiada nam przewodnik — ciekawe to miejsce! Dawny pagórek ten był wysepką na jeziorze, stał tu zamek obronny i wieża. Proszę wejść!

I otworzył nam furtkę.

Wkrótce spostrzegliśmy pod starym, rozłożystym dębem, gdzie do dwóch żelaznych drągów przymocowaną była tablica z planem dawnego zamku, i opisem ciekawych zdarzeń, jakie tu podobno miały miejsce.

„W miejscu gdzie stoisz czytelniku — tak się zaczynał opis — wznosiła się niegdyś wieża, a pod nią był umieszczony w lochu biskup Jenó Gran.

W roku 1294 panowały w Danii zatargi między duchowieństwem, a władzą świecką, w końcu przyszło do walki i król duński Erik, począł ścigać biskupa i uwięził go w podziemiu tej wieży. Ażeby więźnia nie mógł się wydostać, kazał skuć mu nogi, a ręce przykuć do ściany. Nikt nie miał do lochu więźnia przystępu, a pożywienie spuszczano na sznurku, nigdy też nie sprzątano owego lochu.

Po kilku latach biedny więzień oślepił i ogłuchł, wtedy król kazał przenieść go na kilka piętér wyżej, do celi umieszczonej na wieży, ale widnej i obszernej.

Powoli biskup wracał do sił, a nawet odzyskał wzrok utracony chwilowo i słuch. O wyzwoleniu więźnia nie było mowy, a nawet zapomniano o nim zupełnie.

Nikt też nie zwracał uwagi na to, że po jeziorze tuż koło wieży, pływa duża łódź, w której widziano dwóch rybaków. I otóż pewnego poranku otworzyło się okienko w celi, a z niego wyskoczył więzień wprost do wody. Zręczni rybacy pośpieszyli z pomocą, zabrali biskupa do łodzi i odwieźli na brzeg przeciwny, gdzie czekały nań konie i biskup pojechał wprost do Papieża, ze skargą na okrutnego króla. Okazało się, że więzień porozumiał się ze służbą więzienną, która litością zdjęta ułatwiła mu ową ucieczkę.”

Taka historia wypisana była na dużym arkuszu pergaminowym.

Obeszliśmy następnie całe podwórko, gdzie tylko pozostały ruiny dawnego zamku, wszędzie spotykaliśmy napisy: „Sznuj pamiątki.”

— Cenimy nasze pamiątki — powiada do nas przewodnik — i staramy się je otaczać jaknajstaranniejszą opieką. To też gdy się znajdzie, gdzie na ziemi Duńskiej jakaś ruina, kurhan, stary gmach lub inny historyczny zabytek, właściciel bez żadnego targu oddaje to miejsce państwu, które od tej chwili roztacza nad nim opiekę, jako nad własnością kraju i chlubą narodu.

Widzą panowie — mówił dalej — Dania to kraj mały, jest nas zaledwie około trzech milionów, cóż to znaczy w porównaniu do sąsiednich Niemiec. Podtrzymujemy się więc przeszłością, pamiątkami, które kochamy, które nas jednoczą i wzbudzają poczucie godności własnej.

Kilkogodzinna wyprawa wzbudziła w nas apetyt wstąpiłszy do pobliskiego sklepiku, aby się o jakiej restauracji dowiedzieć.

— Żadnej jadalni, ani herbaciarni państwo tu nie znajdują, ale z całą przyjemnością mogę służyć filiżanką herbaty — objaśnił nas właściciel.

Skorzystaliliśmy z miłego zaproszenia.

Niezadługo zaprowadził nas do małego bardzo porządnie umeblowanego pokoju, gdzie przygotowana była herbata, bułki i przewyborne duńskie masło.

— Państwo raczą wypić po drugiej filiżance koniecznie — powiada przewodnik, — gdyż gospodarz pomyśli, że nam nie smakuje jego herbata. Taki już nasz zwyczaj.

Przez cały czas podwieczorku bawił nas rozmową i starał się być bardzo uprzejmym.

Ale jakież było nasze zdziwienie, gdy przy pożegnaniu nie chciał przyjąć żadnej zapłaty.

— Nie trzymam restauracji, ale rad jestem, gdy mogę przyjąć miłych gości, jakimi u nas są cudzoziemcy, — odpowiedział uprzejmie.

Ujęci tą grzecznością podziękowaliśmy za gościnność i kupiliśmy kilka funtów czekolady w sklepie, był to jedyny sposób, w jaki mogliśmy okazać naszą wdzięczność.

Marya Weryho.

W pogoni za pociągiem.

(Dalszy ciąg).

U

sta Sorrel'a drzeń poczęły.

— Nie potrzebuję pieniędzy — rzekł ochryplym głosem. — Nie mogę wziąć tego. Ale, przyjmuję jado, bo byłem bardzo głodny.

Wyciągnęła rękę z pieniędzmi ku niemu.

— Lepiej zrobisz, jeśli weźmiesz, będą ci potrzebne — odparła.

— Nie, mam dosyć — odpowiedział, i z pośpiechem podążył do bramy. Tu odwrócił się i z zakłopotaniem zdjął kapelusz.

— Bardzo dziękuję. Powiem ciotce Łucyi, jak byliście... dobrzy, — dodał.

— Bądź zdrów, uważaj na siebie, chłopcze — zęgnęła go kobieta.

— Bądźcie zdrowi, nie dam się.

Kobieta zwróciła się ku domowi, obcierając oczy końcem perkalowego fartucha, podczas gdy Sorrel powlókł się na południe, wzdłuż drogi, jako zbieg z pod prawa, lecz szczęśliwszy niż wprzód.

II.

Koło zachodu słońca dotarł do małego przystanku w ciasnym parowie górskim, ale nie było tam nikogo.

— Widocznie nie zatrzymują się tu pociągi — rzekł znużony, i po chwili spoczynku ruszył dalej.

Mrok zapadał i powoli zmieniał się w ciemność. Chłopiec usiadł, wyjął nieco pożywienia z chustki, i zjadłszy, podążył znów przed siebie. Teraz ogromny miedziany księżyc wznosił się nad szczytem góry, i swoje niepewne światło spuścił w groźne wąwozy.

— Muszę znaleźć stację, gdzie zatrzymują się pociągi — rzekł do siebie i przyspieszył kroku, idąc wzdłuż linii kolejowej, biegnącej na skłonie góry, wśród skał i sosen wyniosłych. Czuł się niewypowiedzianie sennym; prócz rzadkich chwil, gdy grzmiałyce pociągi napełniały milczące wąwozy górskie tysiącem powtarzanych ech, uroczysta cisza panowała w około, głęboka i przynębiająca. Nareszcie doszedł do równiejszej okolicy, gdzie stały długie szeregi ustawionych sążni drzewa.

— Tutaj pociągi zabierają drzewo — rzekł z westchnieniem zadowolenia; ukrył się za jednym z sążni i położył dla wypoczynku. Był strasznie znużony i pomimo wszelkich usiłowań nie zdołał odegnać odrętwiającego snu, który go obejmował. Nagle powstał, drżąc z obawy i wyczekiwania. Zbliżał się pociąg. Powoli wyprostował się i wyjrzał. Pociąg był długi, i składał się z odkrytych wagonów, nałado-

wanych czemś, co wyglądało na mieszaninę piasku, zwiru i tłuczonego kamienia. Na przodzie sapała ogromna, o potężnej sile lokomotywa, a światło księżycyca połyskiwało łagodnie na jej gładkiej powierzchni, na końcu znajdował się kryty wagon dla służby; z żółtą i zieloną latarnią. Sorrel mógł dostrzedz, że konduktor stał na stopniu. Zwrotniczy szedł naprzód.

— Uważaj na włóczągów, Jim! — zawołał konduktor. — Jezeli spostrzeżesz którego, usiłującego się przyczepić, zepchnij go!

Pomimo to, jak tylko Sorrel zauważył, że konduktor cofnął się do wagonu a inni ludzie zaczęli nabierać drzewa do lokomotywy, okrążył się, czółgając się i wskoczył do jednego z płaskich, otwartych wagonów. Pospiesznie wygrzebał zagłębienie w mieszaninie, zapełniającej wagon, położył się i przykrył jak mógł tym piaskiem. Po chwili maszyna gwizdnęła, ktoś krzyknął — naprzód!

Łącznice szczęknęły ostro i pociąg, skrzypiąc, ruszył w drogę przez wąwozy, odpowiadające mu echem.

Sorrel, leżąc skulony i pokryty miękką masą, uśmiechał się i mrucał:

— Dobrze trafiłem. To musi być pociąg z rudą, idący do Kalifornii, lub gdzieindziej.

W tem przypuszczeniu nie mylił się Sorrel; pociąg byłby go zawiózł do Sacramento, gdyby los nie przygotował wypadku, który mu otworzył nową i szerszą drogę.

III.

Po niejakiem czasie myśli Sorrel'a uspokoily się, zasnął. Dwa razy konduktor przeszedł po jego ostrem postaniu, krocząc po wulkanicznej pokruszonej masie do wagonu swego i nie przypuszczając, że ludzka istota leży prawie pod jego stopami. Minęło kilka godzin; w końcu znużony zbieg obudził się. Gwiazdy bładły na niebie i brzask różowy pokazywał się na wschodzie:

Chłopiec podniósł głowę i obejrzał się wkoło. Byli jeszcze w górach; ale podczas gdy spał pociąg przejechał jeden górski okrąg i dolinę rzeki, a teraz wspinał się na drugi łańcuch. Z obu stron powstawały sosnami pokryte grzbiety i poszarpane wygięcia górskiej krainy.

Sorrel nie mógłby powiedzieć, czy znajdowali się jeszcze w Oregonie czy już w Kalifornii. Westchnął, spuścił znów głowę na poduszkę z kamieni i zdrzemnął się znowu.

Pociąg pokonywa opór góry, tak jak okręt pokonywa wiatr na morzu. Oba skręcają się to w prawo, to w lewo i zmuszają siłę, stawiającą opór, do pomagania im w osiągnięciu celu.

W ten sposób wielka lokomotywa przekraczała przełęcz, biegnąc po torze, zwracającym się to w prawo to w lewo, zakręcającym się w tył, zanurzającym się w wąwozy i tunele, a jednak stale wspinającym się ku szczytom.

Gdy Sorrel znów się obudził, ujrzał już dużo górskich szczytów pod sobą spiętrzonych i dziwnie pięknych w żółtym blasku wczesnego poranku. Przewrócił się na bok i wspierając głowę na rękach, spojrział przed siebie. Mógł dojrzeć szereg wagonów i kłęby dymu z lokomotywy, unoszące się łagodnie. Widocznie przebyli przełęcz, bo pociąg biegł z większym pospiechem. Nie wiedział, gdzie się znajdowali. Gdyby był wiedział i przewidział, co ich czekało, nie sięgnąłby ręką do chustki, nie wydobylby ostrożnie kawałka mięsa i jadł go chciwie, myśląc z wdzięcznością o siwołosej dawczyni. Mięso mu smakowało.

(d. c. n.)

Nasze ryciny.

W niebezpieczeństwie. Prawdziwie groźną chwilę przedstawia nasza rycina: oto tygrys, król dżungli indyjskich, spłoszony ze swego dziennego legowiska przez hałaśliwą naganę, ruszył w szalonych skokach na linię strzelców, a rozwścieczony strzałami skierowanymi ku niemu, rzucił się z zajądłością na najbliższej stojącego myśliwego, porywając go w swe potężne łapy.

Tę właśnie chwilę rozpaczliwej walki człowieka z tygrysem widzimy na obrazku.

Miejmy jednak nadzieję, że myśliwy nie straci życia, bo nadchodzi właśnie pomoc w postaci nadbiegającego strzelca, który niechybnie celnym strzałem uśmierci drapieżnika.

ZE ŚWIATA.

Stacya telegrafu bez drutu. W roku zeszłym w obszernym artykule opisany był niezmiernie doniosły wynalazek Włocha Marconiego: telegrafowania bez drutu; dziś jesteśmy w możności przedstawienia widoku stacyi telegraficznej, przeznaczonej do telegrafowania tym systemem.

Przypominacie sobie czytelnicy zapewne z zeszłorocznego artykułu, że telegrafowanie bez drutu polega na błyskawicznym rozprzestrzenianiu się we wszystkich kierunkach fal elektrycznych, wywoływanych przy przeskakiwaniu iskier elektrycznych w przyrządzie odpowiednio ku temu przystosowanym.

Dla ułatwienia przytem falom rozchodzenia się w przestrzeń bez przeszkód, przesyłamy je naprzód do drutu przyczepionego do wysokiego masztu, a z drutu dopiero rozchodzą się one na wszystkie strony.

Rozumie się im silniejsze fale i im wyższe maszty, tem na większą odległość można telegrafować.

Na naszyej rycinie, przedstawiającej stacyę telegrafu bez drutu w Kornwalii (Anglia), widzimy aż cztery takie olbrzymie maszty żelazne, przeznaczone do przesyłania wiadomości bez pomocy drutu przez ocean Atlantycki do Ameryki.

Trylion. Cóż łatwiejszego jak wymówić tę liczbę; napisać ją również nie trudno, a jednak mimo wymówienia, napisania cyframi i objaśnienia, że trylion jest to milion milionów, nikt z was czytelnicy nie zdoła sobie uprzytomnić wielkości tej liczby.

Pewne pojęcie o wielkości liczby daje następujący rachunek porównawczy.

Człowiek, rachujący niezmiernie szybko, w ciągu jednej minuty zdoła co najwyżej doliczyć do 200, w ciągu godziny do $(200 \times 60) = 12000$, w przeciągu całej doby, czyli 24 godzin, do $(12000 \times 24) = 288000$.

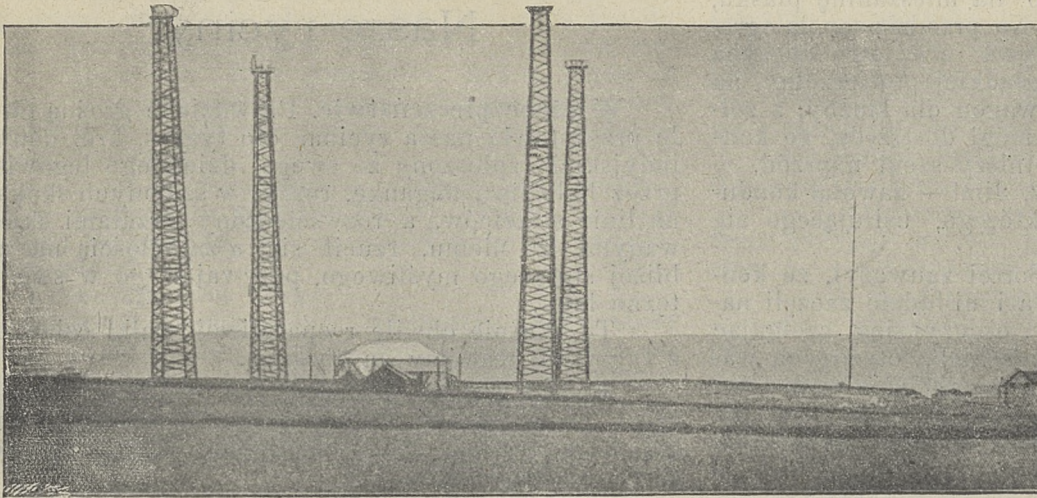
Gdyby tak dalej doba za dobą, dzień i noc rachował niezmordowanie, to w ciągu roku, liczącego 365 dni, dociągnąłby do $(288000 \times 365) = 105,120,000$.

Przypuśćmy teraz, że taki rachmistrz, obdarzony nadzwyczajną cierpliwością i jeszcze nadzwyczajniejszą długowiecznością, rozpoczął liczenie w pierwszym dniu ery chrześcijańskiej, to wiecie kiedyby dopiero doszedł w swym rachunku do trylionu? oto zaledwie około 9512 roku.

(gdyż $1,000,000,000,000 : 105,120,000 = 9512$ z małym ułamkiem) czyli, że za $(9512 - 1903) = 7609$ lat, z czego wynika, iż pragnąc doczekać końca tego rachunku do trylionu, musielibyśmy jeszcze żyć ni mniej ni więcej tylko jakie 76 wieków.

Ładny kawałek czasu!

Hodowla pajaków. Od lat kilku w rozmaitych miejscowościach czyniono próby z pajęczyną różnego gatunku pajaków, mając nadzieję zużytkowania tej przędzy w tkactwie



Stacja telegrafu bez drutu.

Świeżo przed rokiem próbę taką, na szeroką skalę zakrojoną, przedsięwziął rząd francuski, zakładając na Madagaskarze racjonalną hodowlę pajaków, tak zwanych *halabów*.

Halab wysnuwa z siebie w ciągu swego krótkiego żywota, około dwóch tysięcy metrów (prawie dwie wiorsty) jedwabnej nitki, niezmiernie delikatnej i mocnej, przewyższającej nawet dobrocią przędzę zwyczajnego jedwabnika.

Całoroczne próby hodowli halabów wydały doskonałe rezultaty.

W Tananariwie, stolicy Madagaskaru, założono specjalny park bambusowy, zasiany pomidorami i goździkami.

Tu i owdzie pomiędzy bambusami ustawiono balie napełnione wodą, która przyńca owady, służące na pokarm dla halabów.

Co rano posługacze zbierają pajaki w kosze i wkładają je do specjalnych przyrządów, które służą do mechanicznego wysnuwania nitki.

Wypróznione pajaki odnoszone bywają znowu do parku, gdzie spoczywają spokojnie przez dwanaście dni.

Po czterech lub pięciu wysnuciach, halab przestaje żyć, wydając około grama prześlicznego, złotawego jedwabiu.

ZAGADKA LITEROWA.

uł. Batys dla Tadzia M. w Rosławlu.

Pierwsza w kruk i w kurze,
Druga w rōgu, nie w rurze.
Trzecia w nosie, nie w oku,
Czwarta w sōdzie i w soku.

Piąta w tańcu, nie w graniu,
Szosta w każdym pytaniu,
Szódma równa się trzeciej,
Ośma w trunku, jak wiecie.
w Nowym-Yorku *dziewięta*,
W każdej nodze *dziesiąta*,
Jedenasta w kotlecie,
A *dwunasta* w pasztecie.
Trzynasta tkwi w opalu,
Czternasta jest w góralu.
Wszystko to gród bogaty,
Wiele słynny przed laty.

FIGIEL ARYTMETYCZNY.

Z cyfr 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7 zestawić takie liczby, których suma dałaby w rezultacie równie *sto*. Przytem uważać należy, że dwa razy jednej i tej samej cyfry powtarzać nie można.

ROZWIĄZANIA DO N-ru -45go.

Łamigłówki kwadratowej:

Wyrazy *pierwszego* kwadratu: 1) Londyn. 2) Hetman. 3) Papuga. 4) Kraska. 5) Zajazd. 6) Izbica.

Wyrazy *trzeciego* kwadratu: 1) Cegłów. 2) Anabas. 3) Kroton. 4) Płotka. 5) Ananas. 6) Czyżew.

Wyrazy *piątego* kwadratu: 1) Berlin. 2) Gluche. 3) Włochy. 4) Kmieć. 5) Pilnik. 6) Słońce.

Wyrazy *czwartego* kwadratu: 1) Łasice. 2) Ziemia. 3) Joanna. 4) Pozoga. 5) Niemen. 6) Nikiel.

Wyrazy *drugiego* kwadratu: 1) Kielce. 2) Słowik. 3) Marcin. 4) Wiosna. 5) Klódka. 6) Zamość.

Odpowiednie litery składają przysłowie:

Lepsza cnota w błocie, niż niecnota w złocie.

Geograficznej zagadki literowej: Warszawa.

OGŁOSZENIA.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie.

J. JAHOLKOWSKIEJ.

Poleca: nauczycieli, nauczycielki, bony — polki, freblanki, Francuzki, Angielki, Niemki.

Kwalifikacje i referencje starannie sprawdzane. Kierunek biura ściśle pedagogiczny należy do **Jadwigi Jahołkowskiej**, b. nauczycielki 11 gimnazjum, członka Delegacji Pracy kobiet, oraz do **Ludwiki Jahołkowskiej**, autorki prac pedagogicznych, b. kierowniczkii kursów i szkół Freblowskiej, nagrodzonej medalem na wystawie higienicznej.

Marszałkowska N. 118. Telefon N. 2856. 14-1

Do egzemplarzy pocztowych załącza się przy dzisiejszym numerze **cennik składu zabawek J. Müllera**.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Święta Cecylia, wiersz przez Bożymira (z ryc.) — O wynalazcach i wynalazkach przez St. Kramsztyka. — Dwie wygnanki, powieść z czasów cesarza Barbarossy, przez Teresę Jadwigę. — Z Danii. — W pogoni za pociągiem (z ryc.) — Nasze ryciny: W niebezpieczeństwie. — Ze świata (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Moje opowiadanie, przez Zofię Bukowiecką. — Kłótlive rodzeństwo, wiersz (z ryc.) — Podejrzanie przez B. B. — Rodzina Ziemiaka p. F. G. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Chłopiec okrętowy. Przełożyła O. K.

Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

Tak pocieszali się młodzi osadnicy, ale mądrzej-
si od nich wodzowie brali do serca skargi uciekają-
cego przed Niemcami brata, zamykali się z nim
w chacie i kazali sobie opowiadać o Niemieckich
grodziskach, o wałach, zasiekach, zwłaszcza zaś o bro-
ni, jakiej używają do walki. Lech był nietylko dziel-
nym ale mądrym wodzem, prowadził on nieraz obła-
wy, nieraz też własną ręką zadławił kudłacza nie-
dźwiedzia, zrozumiał jednak, że przeciw Niemcom
nie wystarczy goła pięść, że bronić się od nich trze-
ba ich własnym sposobem: budować grody i czynić
je warownymi.

Dlatego to kazał ścinać dęby, żeby ze zwalone-
go drzewa robić zasieki od strony boru, dlatego wo-
dę z jeziora wpuścił do rowów, którymi okopał miej-
sca przeznaczone pod budowę grodziska. Teraz Lech
stoi na wzgórzu i wodzi wzrokiem dokoła, znać, że
myśli nad czemś uparciem, bo zmarszczył czoło. Umilkły
siekiery, nikt nie śmie wodzowi przerywać zadumy,
wał się tylko podcięte wprzód drzewa.

A o czem zadumał się Lech?

Oto chciał znaleźć nazwę dla grodu, który bu-
dował, a pięknie brzmieć musi słowo, skoro nim Lech
chce ochrzcić pierwszą Polan warownię.

Wtem runął dąb u stóp księcia i potoczyło się
pod nogi wodza... wiecie co? Gniazdo orlicy.

W gnieździe trzepotały skrzydłami młode ptaki
a chociaż młode, takie już waleczne, że wziąć się
z miejsca nie dały.

Lech podniósł gniazdo, popatrzył na orlęta, a po-
tem zawołał do pracujących osadników.

— Dosyć już na dziś roboty! Radujcie się ze
mną, bo znalazłem imię dla mego grodziska. Zwać
się ono będzie Gniezmem, a ptak ten nauczy was bro-
nić własnego gniazda przed Niemcem. Jeśli tu przyj-
dzie, jak przyszedł nad Łabę, zawieszę ptaka na drzew-
cu i nieść go każę przed gromadą: Niech stanie się
przykładem, kłóście jak on kłosa, byle ocalić osadę
słowiańską. Nie będę opowiadała o tem, jak Lech sta-
wiał swój gród, co znaczy osadę ogrodzoną, bo było-
by to opowiadanie za długie. Osady takie zaczęto
potem nazywać miastami, Gniezno jest zatem najstar-
szym miastem, u nas a Lech pierwszym znanym z hi-
storią wodzem. Było tych wodzów coraz więcej mą-
drych i sławnych po różnych ziemiach nad Odrą

i Wisłą. Tam to właśnie do ludu Chrobatów nad
Wisłą osiadłego powędruję teraz z opowieścią moją.

Stoi zamek na Wawelskiej górze, a zamek ten
zbudował wódz Krakus i Krakowem od imienia swe-
go nazwał. Ale o tem budowaniu doszła do nas dzi-
wna historia. Mówią, że smok okrutny, ukryty w Wa-
welskiej górze, pożerał Chrobatów, wybierając na pa-
stwę co najdzielniejszych chłopów i co najpiękniejsze
dziewczyny. Krakus zuch nad zuchy zabił smoka
a nad jego jamą zbudował grodzisko warowne, za co
go księciem okrzyknięto a po śmierci usypano mu
mogiłę, którą lud dotąd mogiłą Krakusa zowie.

Wiemy wszyscy, że smok jest niewinnem zwie-
rzętkiem, że nie żyje on wcale w Europie, co sędzić
więc o tej historii, w której jednak część prawdy
się kryje? Ja myślę, że w jamie na Wawelu musiał
siedzieć chytry i dobrze uzbrojony rabuś, może tak-
że Niemiec. Zresztą któż dziś odgadnie zagadkę
z przed tysiąca lat? Dość, że Krakowianie nie-
tylko własnymi rękami usypali mogiłę wodzowi ale
na znak wdzięczności ogłosili jego córkę swoją księżną.

Księżniczka Wanda to był przykład uszanowa-
nia Słowian dla kobiety, bo też Słowianie nie ponie-
wierali niewiasty, jak robiły to wtedy inne ludy,
ale czcili swoje matki i żony. Czcili też i młodziu-
tką córkę Krakusa, słuchali jej rozkazów, strzegli swą
panią od niebezpieczeństwa, byli gotowi wylać za kró-
lowę ostatnią kroplę krwi. Królowa ta zwała się Wan-
da. Nie miała braci, dlatego to jej przypadła władza
nad Chrobatami, a rządziła narodem miłością nie stra-
chem, bo któż też bałby się młodej, ślicznej dziewczki.

Nietylko młodej, nietylko ślicznej! Młodych i śli-
cznych dziewcząt było bardzo wiele, nic w tem niema
szczególnego, ale Wanda odznaczała się między swe-
mi rówieśnicami szlachetnością. Pamiętała, że rządził
tą ziemią jej ukochany ojciec, jemu to, Krakusowi
przyrzekła Wanda oddać w potrzebie życie za stary
gród Wawelski.

I posłuchajcie, co się dalej stało.

Wanda została księciem Słowian, Chrobatów, ale
z księciem, kobietą bywa czasem kłopot.

Mówiłam wam już, że Wanda była bardzo pię-
kną; tą pięknnością zachwyciła Niemca Rytygiera i ten
zuchwalec chciał się z nią ożenić. Wanda jednak
ani myślała poślubić obcego rycerza; wiedziała, że
Niemiec polskiego ludu nie pokocha, więc odesłała
kawalera z niczem. Ale Rytygier nie ustąpił, zebrał
ogromne wojsko, stanął z nim pod Krakowem i przez
trębaczy ogłosić kazał, że jeśli Wanda dobrowolnie za
niego nie pójdzie, on Kraków zniszczy i Chrobatów
w niewolę popędzi.

(d. c. n.)

KŁÓTLIWE RODZENSTWO.

(Dokończenie).



II.

Naraz gdy Zdziś szarpnął mocniej
Gwałtu! pęka korpus lalki
I padają w różne strony
Uczestnicy śmiesznej walki.

III.

Widząc jaka stąd wynikła
Wielka strata, wielka szkoda,
Zrozumieli wszyscy troje,
Że najlepsza zawsze zgoda.

Przeprosiwszy się wzajemnie
Zdzisio, Genia oraz Mania,
Obiecali żyć w przyszłości
Bez kłótni i sprzeciwiania.

Lach.

PODEJRZENIE.

Na biurku pana profesora leży stos kajetów, które ma poprawiać. Pan profesor ma małą córeczkę Milę i kilku uczniów na stancyi, ale ufa, że nie dotkną niczego na jego biurku i nie zamyka nigdy papierów, zawsze wszystko zastaje w porządku. Ale dziś przychodzi do stołu zachmurzony, jak nigdy.

— Chłopcy! spotkała mnie wielka przykrość. Moje biurko zalane atramentem i kajety także; szczególnie ten, co na wierzchu. Całe ćwiczenie zupełnie zniszczone, nie da się przeczytać, a myślałem, że będę mógł postawić za nie 5-ę, bo to dobrego ucznia robota. Stała mu się krzywda, a mnie przykrość i szkoda. Oszczędźcie mi drugiej przykrości — niesłusznych podejrzeń — i powiedzcie, który z was to zrobił?

Nikt nie odpowiada. Ale oczy kolegów kierują się w stronę, gdzie siedzi dziesięcioletni Zbiś — dla częstych figlów nazwany przez nich *Biesiem* a nawet uszczypliwie *Biesem*. Nie, nikt inny, tylko on to musiał zrobić. Nieszczęśliwy Bieś czerwieni się

jak rak, czując, że go wszyscy podejrzewają; spogląda błagalnie na pana profesora pełnemi łez oczami i odzywa się:

— To nie ja zrobiłem, panie profesorze!

— Nie pytam się, kto nie zrobił, tylko kto zrobił tę szkodę. Złe się stało, niech winowajca zmaże winę szczerem przyznaniem się do niej. Tego tylko żądam, nic więcej.

Nikt nie odpowiada. Obiad kończy się w przykrem milczeniu. Gdy już chłopcy odeszli, mała Mila nieśmiało podchodzi do ojca i całuje go w rękę.

— Tatuniu, to nie Zbiś zrobił.

— Nie mówię, że Zbiś, tylko chcę wiedzieć kto?

Mila jest w wielkiej przyjaźni ze Zbisiem, który jest dla niej zawsze dobry. Nic dziwnego, że go broni, jest bardzo zmartwiona posądzeniem, jakie na niego padło. Bo koledzy nie tają się wcale z tem, co myślą i jak tylko sami zostali podśpiewują z cicha:

„Zbiś! Bieś! bies!
Machnął łapą jakby pies,
I rozlał atrament
Zrobił biurku traktament!
Bies! Bieś! Zbiś!
Nie zapieraj się dziś!”

Dopiero wejście korepetytora przerywa dokuczanie nieszczęśliwemu Zbisiowi.

Lekcje już skończone, wieczorna herbata wypita. Winny się nie przyznał. Chłopcy bawią się, zanim pójdą spać: jeden czyta, inny przepowiada sobie lekcje. Tylko Zbisia niema w pokoju. Dręczony posądzeniem, jakie na nim ciąży, klęczy w korytarzu z głową opartą na kufunku i płacze, naraz ktoś go chwytą za szyję i całuje serdecznie. To Mila przyszła go pocieszyć.

— Nie płacz, Zbisiu! — mówi cichutko.

Chłopiec zawstydził się, otarł oczy i odpowiedział:

— Ja nie płaczę! Nie mów nikomu, że płaczę... Ja się tylko modłę i proszę Pana Boga, żeby ten co winien, przyznał się, i żeby mnie nie posądzali...

Łzy zaczynają płynąć na nowo. A Mili już niema w korytarzu, pobiegła do mamy.

W kwadrans później otwierają się drzwi do pokoju chłopców i pani profesorowa wchodzi, prowadząc zapłakaną Milę, a za nią wchodzi profesor i pyta o Zbisia. Koledzy sprowadzają go z korytarza i przestraszeni czekają, co z tego będzie.

Mila zaczyna mówić, szlochając:

— Nie mówcie, że to Zbiś! To ja zrobiłam... ale nie naumyślnie! Ja was wszystkich bardzo lubię, i nie chciałam nic popsuć, tylko obejrzeć kajety i pieczątki. Przewróciłam kałamarz przypadkiem... Nie mówcie, że to Zbiś!

I uderza w wielki płacz. Zbiś biegnie do niej i uspokaja ją. Koledzy stoją zawstyżeni, że tak niesprawiedliwie posądzali. Lepiej było z tem się nie spieszyć, prawda? Na drugi raz będą ostrożniejsi, bo im bardzo wstyd i żal.

A Mila żałuje, że nie powiedziała prawdy odrazu. Byłaby oszczędziła Zbisiowi przykrości a sobie wyrzutów sumienia, które ją dręczyły cały dzień.

B. B.

RODZINA ZIEMNIAKA.

Dalszy ciąg).

V.

Opowiadanie Grula. *)

Jednego południa szło bruzdą między radlinkami kartofli małe pachole, bose, z gołą głową; koszulinę na piersiach miało rozpiętą, tak że widać było wystające zebra, powleczone suchą, spaloną skórą.

Chłopczyk musiał być zmęczony i głodny, bo siadł, wyjął z za pazuchy kawałek razowego chleba zjadł go ze smakiem, rękawem usta otarł, a schyliwszy główkę, położył ją w bruzdzie i zasnął.

Działo się to przy krzaczku naszego Ziemniaka, lecz on swoją robotą zajęty niewiele na chłopca zważał. Korzeniami ciągnie z ziemi, listkami chwytą z powietrza, a wszystko dzieciom posyła.

*) Grul, nazwa góralska ziemniaka; w poprzednich NN. przez omyłkę było Grzel.

I kiedy tak pracuje, usłyszał ciche wołanie.

— Braciszku drogi! Jakże się miewasz?

— Kto mnie woła? — pyta wzruszony Ziemniak, gdyż zdaje się mu, że to głos jednego z braci.

— To ja Grul. Spójrz na tego uśpionego chłopca. O tu na jego zadarty nosek. Widzisz mnie?

— Bracie kochany, co to za radość, że cię słyszę nareszcie, powiedz mi tylko wyraźnie, gdzie jesteś, bo widzę chłopca i jego zadarty nosek, ale ciebie nie widzę. Chciałbym cię już jaknajprędzej przywitać.

Grul roześmiał się.

— Ja teraz braciszku całkiem inaczej wyglądam i do dawnego Grula wcale podobny nie jestem. Przyjrzyj się noskowi; widzisz tę czerwoną plamkę? To ja właśnie w niej siedzę.

Ziemniak zniecierpliwiony zawołał:

— Zostaw, proszę cię te żarty i wyjdź z ukrycia, bo już nie mogę tych bredni słuchać dłużej.

— Jak cię kocham Ziemniaczk — zapewniał Grul, ja wcale nie żartuję. Jeśli mi nie wierzysz, to opowiem ci całą historję, od samego początku.

— Pamiętasz tę okropną chwilę, kiedy to nas z ziemi wydarto i rozłączono? Oj! nie mogłem się z żalu utulić! Próżno rozglądałem się na wszystkie strony, czy którego z was nie ujrzę, ale gdzie tam! Wsypali mnie z innemi kartoflami na furę, z fury do ciemnego dołu, lecz niedługo tam byłem. Wydostałem się wkrótce na świat, ale chwilę zaledwie cieszyć się mogłem swobodą, gdyż wzięli mnie do kuchni i obrawszy ze skórki, ugotowali. Właśnie wtedy gdy z garnka kładziono mnie na miskę, stanął u progu chłopiec sierota i szepnął z płaczem:

— Jeść!

Kucharka łyżką podała mnie chłopcu. Nie umiem opowiedzieć mojej rozpaczy. Pragnąłem żyć i coś robić, a tu dali mnie na stracenie, myślałem. Lecz dziwna rzecz, chłopiec pogryzł mnie zmieszał ze śliną, a ja żyłem. Z ust dostałem się do przełyku i ciasną rurką szedłem, szedłem, nie wiedząc, gdzie mnie los niesie, aż wreszcie rurka się rozszerza a ja bęc! do dużego worka. Och! już teraz zginę! pomyślałem. Ale w tym dziwnym worku, dziwne się rzeczy działy, choć mnie tam zmieszano z jakimiś płynami, choć jeszcze bardziej cząsteczki moje rozdrobniono, żyłem jednak ciągle i coraz więcej byłem ciekawy, co się też w końcu ze mną stanie.

Fr. Gensówna.

(d. c. n.)

FIGIEL SZARADOWY.

podała Kraska leśna.

Figiel dość łatwy młodzieży,

„Wieczorów” podają dziś łamy,

W trzech wierszach całe zadanie:

Drugie do papy należy,

Pierwsze należy do mamy,

A wszystko wisi na ścianie.

ZADANIE KONIKOWE.

ul. Miri

*	ło	wień	*
czy	*	*	Ko
*	niec	dzie	*

*Koniec
wierszy
dziś to*

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

Zadania konikowe: Pycha z prostej drogi spycha.**Szarady:** Ka — le — ka.

Skrzynka do listów.

Szczęśliwa jestem, gdyż znów podzielić się mogę z wami, gromadko moja kochana, pomyslną i ważną wiadomością. Nadstawcie uszka, słuchajcie uważnie, bo mówić będę o ubogich waszych siostrzyczkach i braciszczkach. Wiek 20-y nazwał ktoś słusznie wiekiem dziecka. Nigdy nie troskano się tak o młodzież, jak obecnie, i oto powstał nowy zakład, poświęcony dobru tej młodzieży. Z zapisu barona Lenwala zbudowano przy zbiegu ulicy Marszałkowskiej i Litewskiej instytut higieny, to jest dom, w którym z pomocą Sióstr miłosierdzia, doktorzy udzielają porad ubogim dzieciom, nauczą nieoświecone matki, jak należy zachować czystość ciała, odzieży, mieszkania, jak unikać chorób zaraźliwych. Jest w instytucie ambulatorium, sala gimnastyczna, są kąpiele, apteka, pomoc lekarska, jest nawet gabinet ortopedyczny, w którym dzieci kaleki pozbędą się pod opieką Sióstr garbów i innych ułomności. Czyż to nie szczęście! Kochajmy te dobre Siostry, starajmy się poznawać ich pracę, a kto wie? może która z was, korespondentki moje, powiększy kiedyś armię miłosierdzia, może Szarą siostrą zostanie. A teraz do listów, prędeż, prędeż, bo Redakcyja gniewać się będzie, że zbyt wiele miejsca na gawędkę z *wszystkimi* zajmę. Spieszę, porywam pierwszy liścik, patrzę na pseudonim... ho, ho, to **Ponury Sęp** pragnie należeć do naszego grona i nadsyła marki dla Afrykańskich misyi. Dobry początek, widocznie ponurość tego Sępa nie strasza, skoro o drugich pamięta i przyjacielsko się odzywa. Między przyjaciółmi nie ma ceremonii, możesz więc śmiało, Sępie, używać zaimka ty.

Janka z Kielc odebrała już zapewne żądane dodatki!

Chętnie **Incognito** zaliczę cię do naszego grona i o szczególniejsze listy bardzo proszę, co zaś do warunków konkursu, to rozstrzyga o nich Redakcyja.

Figlarna Srocza pyta, dlaczego Wieczory nie drukują powieści „Pałac w głębi oceanu.” Ależ Sroczo dlatego, że powieść ta dawno już skończona. Sroczi i do tego figlarnie wydają często roztrągnięte, pewnie ty także grzeszysz tą wadą.

Stosownie do twego życzenia **Maniu Ziemi**. Redakcyja wysłała książkę pod wskazanym adresem, a ja cieszę się, że nasze kochane pismo dostarcza ci nie tylko miłej rozrywki ale i korzyść naukową przynosi.

„Nie jestem pomysłowy,” pisze **Amundsen**, a sam wybór pseudonimu pomysłowości dowodzi. Nazwisko to nosił towarzysz Nansena, więc zdradzasz sympatyje dla dalekich i niebezpiecznych wypraw. Wcale ci tego ganię nie myślę, sądząc owszem, że takie zamiłowanie, poparte sumienną pracą, może z czasem przynieść plon bogaty. Mało już dziś okolic

niezbadanych, za to obfite pole odkryć naukowych stoi przed nami otworem. Dlaczegożby Polak nie miał być takim dobrodziejem ludzkości jak Amerykanin Edison lub Francuz Pasteur. Pracę Pasteura nad szczepieniem surowic prowadzi dalej Dr. Roux. Przyznano mu teraz nagrodę 100,000 franków za odkrycie naukowe, on zaś ofiarował te pieniądze na instytut Pasteura, aby zwiększony fundusz umożliwił dalsze dla dobra ludzkości doświadczenia. Czyż to nie godny naśladowania przykład.

Musze z Krakowa dziękuję za jej starannie napisany liścik a jej braciszczkowi za chęć czytania Wieczorów. Żadna muszka na świecie nie brzęczy tak miłutko, jak moje Muszki czy to z nad Rosi czy z nad Wisły. Żałuję naturalistów za to, że nie znajdują tego gatunku.

Zazdroszczę ci kochana **Wajdelotko** wujaszka, który bawiąc 20 lat w Ameryce musi znać dobrze losy naszych kolonistów. Napisz mi kiedyś, co wuj twój o nich opowiada, toż blisko dwa miliony polskiej ludności żyje za Oceanem. Mnie ci dalecy bracia bardzo obchodzą, chętnie popręgnęłabym do nich z dobrą radą, której tak często potrzebują. Wszelkie pocztówki zarówno jak marki przyjmowane są z wdzięcznością przez opiekunów Afrykańskich kolonii.

„Kocham sztukę i wszystko co dobre, co szlachetne” pisze **Miłośniczka piękna**. Wszak chętnie przyjmujemy do naszego grona korespondentkę, która pod takim hasłem zawiera znajomość. Bądź nam siostrzyczką, dziel nasze radości i smutki. Radosną nowiną zaczęłam dzisiejszą skrzynkę a teraz na zakończenie chciałabym zapytać i ciebie Miłośniczko i wszystkich dawniejszych moich przyjaciół, czy cieszyła was tak, jak mnie cieszy, cześć oddana pamięci księdza Kordeckiego w 300 letnią rocznicę jego urodzin? „Wychwalajmy męża szlachetne i ojce swoje w rodzaju swoim” naucza kościół, a czyż był mąż szlachetniejszy i ojciec gorliwszy nad tego pokornego zakonnika. Wychwalajmy go więc, niech jego imię pobudza nas do wytrwania w dobrem. Pomódz wam na tej drodze pragnie całym sercem.

Jaskółka.

Białorusinka przesyła pozdrowienie Mgle wieczornej i Gosposi.

Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów.)

Janina Burkathówna (Zakopane, Chramcówki N. 20) pragnie zamieniać karty pocztowe z Miri, Beatryczą, Dumką z nad Wisły i Czeremchą.

Mania Hulanicza (gub. Kijowska, pow. Humański, wieś Botwinówka) życzyłaby sobie zamieniać pocztówki z Żabką z nad Rosi.

Hela Peretjatkowiczówna (Łuck, gub. Wołyńska) pragnie zamieniać karty z Zochną z Pekinu, Szarotką z Tatr, Wielorybem, Halinką i Marysią z Permu, Wielopolanką, Błękitną chmurką i Niebieską Perelką.

Janusz Tyszkiewicz (Szapijówka, p. Skwira, gub. Kijowska) życzy sobie korespondować z Halbanem.

Anusia Szyszkówna (Petersburg, Bałtycki foksal N. 5) życzy sobie korespondować z Muszką z nad Rosi, Dyablikiem, Pożłacanym Dyablem, Wielbicielem Szopena, Mazurem i Jadwišką.

Z. Szyszkówna (Petersburg, Bałtycki foksal N. 5) pragnie zamieniać karty z Beatryczą, Halką z nad Teterowa, Wajdelotką, Polską Dziewczyną, Warszawianką, Zosią z Pekinu, Thalią, Mimozą, Świetlaną, Janką z Kielc, Iris, Dalią i Górską pasterką.

Sprostowanie: W ogłoszeniach szkoły Slöjdu (NN. 36 do 40 włącznie.)

J. Przyłuskiego, ul. Hoża N. 9.

w Warszawie mylnie była podawana pierwsza litera imienia T. zamiast J., co się niniejszem prostuje.